

I pierwsze pudło.....



Od pewnego czasu, głos mosiężnego dzwoneczka kojarzy mi się nie z sankami, janczarami czy św. Mikołajem, ale z łowiskiem i małym, czarno podpalanym terierkiem „Maksem”. Takie same dzwoneczki mają i inne psy, np. jego towarzyszka z sąsiedniego kojca, sympatyczna „Bera” – płec piękna rasy Wachtelhunda, ale zapalczywy i gorący temperament „Maksa”, powoduje, że to właśnie jego dzwoneczek słychać na linii, najczęściej, najwyraźniej i najdłużej.

Wystarczyło kilka wspólnych, z tymi pieskami polowań, aby przekonać się, że odgłosy dzwoneczków układają się w swego rodzaju dźwięczny alfabet, który przy odrobinie chęci, można doskonale zrozumieć i odczytać wiele informacji, nieświadomie przekazywanych przez biegających po lesie ich właścicieli. Sceptyczni koledzy, już na starcie, pomysł z dzwoneczkami, skrytykowali i skwitowali ironicznymi komentarzami. On, jednak przyjął się, sprawdził i rozpowszechnił. Im, natomiast, głupio teraz wyrazić aprobatę pomysłu i przyznać się do tego, jak się mylili, bo przecież efekty widzą i z nich korzystają! Ale to już ich problem! Ważne, że pieski się nie gubią, wiadomo, gdzie w danej chwili są, że prowadzą zwierza, albo, że go doszły. Więc, jeśli masz słuch, niekoniecznie muzyczny, to odczytasz wiele informacji z tej, jakże osobliwej i miłej dla ucha „orkiestry”. Ile człowiek wiąże nadziei, z tym przenikliwym, mosiężnym przedmiocikiem, ile przeżywa radości, a czasami doznaje rozczarowania, przekonałem się na kolejnym polowaniu zbiorowym.

Jesień w pełnej, osobliwej krasie. Zimna i wilgotna mgła broniąca przed słońcem leśne bogactwa, wyciska na złotych liściach i platynowych porostach ciężkie krople łez. Mokre, rubinowo – czerwone kiście jarzębiny rumienią się jeszcze wyraźniej, na tle szaro - zielonej ścianie sędziwych świerków. Zapach wilgoci, pleśni i butwiejącej materii, przytłacza do ziemi, ale dostraja maestrię i wirtuozerię jesiennych polowań.



Właśnie stoję, na kolejnym stanowisku, uroczystego, hubertowskiego polowania, w gościnnym, jak zwykle, Węgorzewskim, Wojskowym Kole Łowieckim „Żbik”, w głuszy, budzących się Skaliskich Lasów, czekając na kolejne pędzenie. Oddala się grupka myśliwych, zmniejszająca się o kolejnego, któremu prowadzący wyznaczył stanowisko.

Oczekiwanie na sygnał pozwala na chwilę zadumy i wspomnień. Cisną się do głowy różne wątki, rozpychając się w kolejce, ale przede wszystkim priorytet mają te, z poprzednich polowań tu, w „Żbiku”. Pierwszy strzelony dzik w zimowej scenerii, i polowanie, na którym moje dzicze konto, wzbogaciły kolejne dwa, w tym „setkowego” odyńca. I wreszcie jubileuszowe polowanie z okazji 60-tki koła i na nim 4 jelenie – byki, które „przewaliły” przez linię

między moim stanowiskiem, a sąsiada z lewej, robiąc przy tym niesamowity rumor łamanych gałęzi i dzieląc między nas ogromną dawkę adrenaliny. Do tej pory dźwięczy mi w uszach tętent uchodzącego „królewskiego, leśnego orszaku”. Ech!!

W pewnej chwili w rozmarzone, nie wiem, jak długie, wspomnienia, wdarł się ostry, jak szpileczka, dźwięk. Poprzez ciężką kotarę jesiennego poranka narastał głos dzwoneczka, który sprowadził mnie szybko na ziemię i do rzeczywistości. Pilnuj! Prowadzę dzika” – zdawał się brzęczeć natarczywie. Zmysły wróciły na swoje miejsce i po chwili, przed sobą, na skraju zrębu i lasu zauważyłem ruch, a za chwilę, „przelatka”, który uchodził przed niewidzialnym źródłem dźwięku. Żałowałem mocno, że w rękę moim spoczywała pożyczona broń, bez optyki, bo już na tym zrębie mogłem odebrać prezent, jaki mi w tym dniu przygotował Patron.

Gon trwał dalej, a dzik zanurzył się w las, aby, po chwili wysunąć się na skraj śródleśnej drogi asfaltowej, wzdłuż, której rozciągała się linia myśliwych. W tej chwili strzał był nierealny, jak i na środku jezdni, a dopiero w momencie, kiedy dzik przesadzał przydrożny rów poza miotem.

Las schował we mgle huk wystrzału, a mnie opatulił nieznośną ciszą, jakże denerwującą w niepewności, z akustyczną „drzazgą”, nieustającego sopranu psiego dzwoneczka. Jakże wiele dałbym, za to, aby ten głos utknął zaraz za szosą, w jednym miejscu i razem ze szczekiem zmęczonego i parującego „Maksa”, kłuł już przyjemniej w uszy! Stało się inaczej – dźwięk umilkł, nie zamienił się w szczekanie, a „Maks” po chwili wrócił na miejsce zbiórki i nawet na mnie nie spojrział, tak mi się przynajmniej wydawało. Fakt był nie do cofnięcia – PUDŁO!!!!!!!!!!!! Nie tłumaczę się w ogóle, na nic nie zwałam winy, po prostu spudłowałem dzika i tyle.

Jedno mogę potwierdzić stanowczo i trwam przy tym uparcie - głos mosiężnego dzwoneczka kojarzyć mi się będzie, nie z sankami, janczarami czy św. Mikołajem, a z łowiskiem i z małym, czarno podpalanym, czworonożnym przyjacielem myśliwego, który jest na wskroś naszą nadzieją, tak przed, jak po strzale. I nawet węgiel z myśliwskiego ogniska, czarny i brudzący, zostawiający na gębie pudlarza, drwiące ornamenty, nie zabrudzi czystego i dźwięcznego głosu tego dzwoneczka.

„Darz Bór”

